

Moja znajoma postanowiła wyremontować mieszkanie. Znalazła świetnego specjalistę, który genialnie znał się na swoim fachu i... uwielbiał pleść androny. Wyszukane słownictwo było jego domeną, a słów pochodzenia obcego używał do upojenia, niezależnie od tego czy miało to sens czy też nie. Kiedyś, po skończonej pracy, koleżanka zaproponowała, że przygotuje mu obiad, na co Pan Staszek rozbijając odpark: „Halinko nie kompromituj się, ale... bardzo chętnie coś zjem”. Gospodynię замуrowało. Przez chwilę zastanawiała się czy aż tak kiepsko gotuje, czy też po prostu ma się nie fatygować.

Wyrafinowane słownictwo, wyrazy brzmiące obco albo modne, upychamy w naszych wypowiedziach ochoczo i bez limitów. Starajmy się używać takich słów, które są dla nas zrozumiałe, bowiem błędne użycie może powodować zabawne sytuacje. Jednym z najczęściej popełnianych błędów jest mylenie znaczeń wyrazów podobnych brzmieniowo i ich niepoprawne wymienne używanie.

Ostatnio słuchałam wypowiedzi pewnego burmistrza, który chciał adoptować lokale mieszkalne. Temat jest poważny, a ja ciągle widziałam w myślach owego pana na spacerze z maleńkimi blokami. Adoptować to znaczy uznać prawnie cudze dziecko za swoje, inaczej przysposobić, zaś adaptować to przystosować coś do innego użytku, do nowych potrzeb. Czyli zapamiętajmy: ktoś się zaadaptował do nowych warunków, strych będzie adaptowany na mieszkanie, a bezdzietna para zaadoptuje dziecko. Inna para wyrazów często mylonych to imputować i amputować, statut i status, spirytualny i spirytusowy. Zwracajmy uwagę na to, co mówimy, żeby nie popełnić lapsusu jak prezydent Bush, któremu się tylko dewaluacja i deflacja pomyliła, a spowodowało to zamieszkanie na Tokijskiej giełdzie.

Na koniec, anegdota z moich wyczynów szkoleniowych, wprowadzie nie o paronimach, ale o sztuce mówienia. Rzecz się działa w małej miejscowości w południowej Polsce. Stawiałam pierwsze kroki jako szkoleniowiec i prowadziłam zajęcia dla rolników na temat dobrodziejstw Unii Europejskiej. Wyposażona w konspekt, furę notatek i prezentację multimedialną, weszłam do salki w remizie. Na widok czterdziestu słuchaczy z trudem opanowałam nerwy, ale przemożłam się, zaczęłam, a potem już poszło, bo co jak co, ale mówić uwielbiam. Po półgodzinnym wywodzie, dumna z siebie niezwykle, zapytałam, czy ktoś ma jakieś pytania? Znalazł się jeden odważny, wstał i powiedział: „A co to jest ta kon... kon... konwercość? Bo dalej to już nic nie zrozumiał”. Nieszczęsna konwergencja była w pierwszych zdaniach mojego koszmarnego wykładu. Pytający zauważył pewnie moją minę i łzy w oczach, bo stwierdził: „Niechże panienka powie to po ludzku i będzie dobrze”. Spróbowałam powiedzieć „po ludzku” i było bardzo dobrze. Zamiast uczyć kogoś to ja się nauczyłam najwięcej, prościej zazwyczaj znaczy lepiej...